

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1846.

Poznań, dnia 27. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mąd paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Są ludzie, którzy wiecznie zachwalają średnie wieki, że miały ciągle przed oczami jeden wielki cel i że ciągle zmierzały do jego ziszczenia. Że wieki te, bacząc zawsze na prawa Boskie i kościelne, musiały postępować po drodze prawej. Na pierwszy rzut oka musiało się każdemu wydawać, że tak rzeczywiście było; ale kto się lepij zagłębi w dzieje, postrzeże, że przez chęć panowania i władzy, brat mordował brata, syn nawet knował spiski przeciw ojcu; że małżeństwa były tylko spekulacją majątkową, że prawo, sprawiedliwość, urzędy kościelne i świeckie, wszystko było sprzedajne; że w powszechności nie pojmowano wcale dobra ogółu, ale tylko dobro osobiste, egoistyczne, które sięgało do rodziny, albo nareszcie do całego domu krewnych, powinowatych, sług, klientów, lub najszerzej już brane, do stowarzyszonych w jedno bractwo, ale nie do narodu, a tém mniej do całej ludzkości. Można wprawdzie pokazać niejednego człowieka, który się kłopotał o cały naród, ale jeżeli obejrzymy jego stanowisko bliżej, to się wykryje, że tego człowieka stosunki osobiste były tak wielkie i przestronne, że się ściśle spajały z losem narodu, azatém dbając o siebie tylko, musiał dbać o naród. W ogóle, że o ideą tak przestronną jak jest naród kłopotali się i kłopotać mieli prawo tylko królowie, arcybiskupi, kanclerze, naczelnicy wodzowie i inni podobni dostojnicy, ale nie ludzie niższego stanowiska, ubodzy. Ludzkością zaś mógł sobie głowę zaprzętać chyba tylko papież, bo on był jeden który usiłował nad nią całą objąć panowanie, i który ją mógł za swój dom, za swoją klientellę poczytywać.

Rok siódmy.

Nie można przeczyć, że religia, a nad wszystkie chrześcijańska, zawsze obejmuje zasady wznioślejsze, kierujące człowieka we wyższą sferę nad jego drobne widoki osobiste. Atoli i religią w średnich wiekach pojmowano jako ocean, do którego wpływały wszystkie egoizmy pojedynczych ludzi. Religia nie była przejęciem się wdzięczności dla Stwórcy, uszanowaniem najwyższego rozumu w niepodobnej do pojęcia oględności, w harmonii całego świata i wszystkiego co na nim istnieje i co się dzieje, ale była tylko instytucją wymierzenia kary i nagrody na drugim świecie. Pobożność zatem ówczesna da się nazwać spekulacją zarobkową w zakresie ducha. Dzisiejsze wieki mniej okazują religii po wierchu, ale daleko są religijniejsze; nasza moralność nierównie zgodniejsza z moralnością, której drogę wytknął Chrystus. Nie masz atoli wątpliwości, że żyjemy dopiero w czasie przechodu niemoralności średniowiecznej do moralności czystej, jaką zapowiada przyszłość. Dośćcignęliśmy do tego, że człowiek człowieka nie ma prawa sprzedawać, za swą własność uważać, bezkarnie zabijać, że sędzia nie może zaprzedać sprawiedliwości, ale jeszcze z całą mocą uczucia nie powstajemy na to, że mieczem można zdobywać kraje, i dziką siłą nad nimi panowanie rozpościerać i że wolno z poświęceniem prawdy, przez układność obejmować miejsca, które się należą zasłużonym; że można sądownie uwalniać się od zobowiązań, choć moralne przekonanie pokazuje niesłuszność, a sumienie woła, że zobowiązanie uczynione było; że wolno korzystać z namiętności drugiego, i w karty lub inną grę wydzierać mu własność

od której zachowania zależy los jego rodziny; że wolno próżnować a żyć dobrze, i być tylko machiną do trawienia owoców, na które drudzy w pocie czoła pracowali. To wszystko zdaje się wielu ludziom jeszcze nienaganne, i wszystkich, którzy tylko podobne mają grzechy, wpuszczamy do towarzystw, nazywamy przyjaciółmi. Dla przyszłości trzeba się spodziewać szlachetniejszych zasad i przyjdą one pewno. Któryż sędzia albo człowiek mógł przed trzysta laty pomyśleć, aby wymierzanie sprawiedliwości mogło się dziać bez przemocy, bez przekupstwa, a przecież stało się inaczej. Stare przyzwyczajenie, stare zepsucie, stare zasady przyciskają dziś jeszcze przemocą ducha postępowego, ale i same sposoby zatrzymywania i przyciskania, codzień słabsze, węższe. Postęp na drodze materjalizmu przez maszyny parowe zrobił skok, na jaki dawniej tylko wieki były się w stanie zdobyć; nie masz wątpliwości, że i ruchliwy duch czasu naszego położy jakąś zasadę, że pojęcia nowe tak odskoczą od dawnych, iż pomiędzy niemi ledwie będzie można dostrzedz ogniwo łączące.

Do Pana L. S.

1845.

(Dokończenie.)

Na tej samej ulicy idąc ku miastu, zwraca uwagę przechodnia piękny dom o dwudziestu czterech kolumnach z napisem Biblioteka Raczyńskich. Nie masz tu w niej żadnych rzadkich dzieł, (jak to słyszałam od ludzi, co to gryzą stare łacińskie szpargały jak mole) ale za to jest portret żony założyciela. Ciekawy pan pewnie czy ta pani piękna? Nie powiem.

Teraz do kościołów. Budowane najwięcej w 17. lub 18. wieku, albo zniszczone przez wojny uległy takiej reperacji, że pierwotny kształt zupełnie zatracili. Najpiękniejszym ze wszystkich jest Fara, dawniejszy kościół Jezuitów. Wiemy, że każde dzieło jest tylko formą, w którą artysta ubiera swoją myśl i czucie; ktoś też obejrawszy ten kościół, nie dostrzeże w jego strukturze ducha zakonu Lojoli. Wszak każdy z prawdziwych synów tego zgromadzenia z powierzchowności skromny, układny, starający się niczem nie wybijać nad innych — dopiero kiedy się stąpi myślą w próg jego wnętrza, ukazuje w całym majestacie zasób nauki i rozumu jaki nagromadził, aby każdy tém

zdziwiony, uchylił korne czoło przed tą świetnością. Mimo ich wiedzy może, lecz ten sam charakter zachowali w budowlu swego kościoła. Choć to przybytek wystawiony Bogu i właściwieby było, żeby jego zewnętrzność wybijała majestatycznością nad domy ludzkie, ten tu jednak zbudowano skromny — bez ozdób powierzchniowych — ledwie dach wystrzelił nad inne, w których rzędzie stoi, i tylko krzyż prosty wyłaczany zatknięto na jego szczycie. Lecz ledwo próg przestąpimy ujrzymy się w prawdziwie wspaniałym kościele. Dwa rzędy wzniosłych kolumn w stylu rzymskim, wspierają jego sklepienie, a każda zda się być wyciętą z jednego kamienia — światło z góry padające, przytłumione — ściany ciemno marmulizowane, wszystko rozlewa jakąś uroczystość w oko, i usposabia duszę do modłów. Wspomnę też panu o kościele po-franciszkańskim, a teraz oddanym Niemcom katolikom. Nie dla jego starożytności ani też pięknej budowy, ale dla zwyczajów tak niemiejskowych, które w nim zaprowadzono, przywiezionych tam gdzieś z pod nieba germanskiego. Już to najpierw ławki na klucz zamykane i nawet w domu Bożym bogatsi mają przywilej nad uboższymi siedzenia, choćby najstarsi i najstarsi ci ostatni byli. Przed rozpoczęciem nabożeństwa Niemiec czarno ubrany, stary, chudy, z zaczesanemi do góry włosami chodził po kościele i osobom bardziej dystyngowanym szeptał coś do ucha. Długo zdjeta ciekawością spoglądałam za nim, aż nareszcie zbliża się do mnie — nadstawiam ucha, a on mi szepnął: „jetzt wird 99stes Lied gesungen“ — i nie długo też zaśpiewano ten Lied. Po rozpoczęciu nabożeństwa zamykają pilnie kościół, i ani wpuszczają ani wypuszczają z niego, choć pewno nie raz sługa lub inna osoba obciążona obowiązkami nie mogła przeczekać przyjść, lub radaby odejść wcześniej — nic to nie pomoże, bo ten sam czarno ubrany Niemiec choć stoi z kluczem przy drzwiach, ale głuchy na wszelkie przedstawienia. Tak to wszystko przeciwne polskiemu pojęciu równości i wolności, których się Polak nigdy nie wyparł przynajmniej w obliczu religii, że tu raz ktoś zajrawszy, pewno więcej nie wejdzie.

Z drugiej strony rynku, w ciasnej uliczce jest mała kaplica, o której panu tak opowiem jak od starych ludzi w mieście słyszałam; rozumie się że nie od tych, których wiara w przeszłość oparta na trybunale ksiąg martwych, ale od ludzi, do których opowiadane słowa nim dopłynęły, skąpały się poprzednio w fantazji każdej generacji. „Bardzo wiele lat temu, kiedy niewierni żydowie, zawsze chcieli krwi Chrystusa Pana, przekupują starą babę, aby ta im przyniosła kilka hostyi. Otóż owa niegodziwa niewiasta przystępuje do

kommunii bez spowiedzi u księży Dominikanów, wyjmuje ją z ust i niesie żydom, lecz oni niechęć dać zapłaty, dopóki przynajmniej dwóch jeszcze nie przyniesie. Kryje się więc pod ławką w tym samym kościele, i tak kradnie przenajświętszy Sakrament. Ale kiedy schodziła ze stopni ołtarza, taki ją strach ogarnia, że nie wie o tém jak gubi chustkę, którą sługa kościelny rano znajduje. Wyszedłszy z kościoła, niesie ową bluźnierczą kradzież żydom, którzy mieszkali w domu gdzie dziś kaplica. Starszyzna najzjadliwsza na mękę syna Bożego, schodzi się, i obsiadłszy stół w około, nuż poczęli wielkimi nożami kłuć hostye, a choć krew z pod noży tryska, ich skamieniałe dusze się nie miękczą. Naponiewierawszy i namęczywszy do sytu ciało i krew pańską, wrzucili ją pod stół, skąd wymiecione i schowane do studzienki przeznaczonéj na chowanie śmieci. I cóż się dalej dzieje? — stara jedna żydówka ślepa od urodzenia, przechodziła koło owéj studzienki — na raz zajaśniało coś przed jéj oczyma, źrenice jéj się rozwarły i widziała unoszące się nad wierzchem trzy jak śnieg białe gwiazdeczki. Pobiegła, opowiadając cud przejrzenia, przywołuje swoich. Ci przestraszeni żeby zbrodni nie wykryto, wzięli hostye i zakopali na łąkach, gdzie później wystawiono kościół Bożego Ciała. Tymczasem o przejrzeniu ślepéj szeptać zaczęto dalej a dalej, wyszła prawda na wierzch. Wtedy przypomina się kościelnemu owa chustka znaleziona przed ołtarzem, i po nią wykryto zbrodniarkę. Żydów skazano na stós, a niewiastę oddano na rozszarpanie psom.“

W myśl tego opowiadania są obrazy zawieszone w kapliczce, studzienka, gdzie były hostye, słynie cudownie uzdrawiającą wodą zwłaszcza na oczy.

Kościół Bożego Ciała, najstarszy z téj tu strony Warty, ma przechowywać po dziś dzień owe trzy hostye, które unoszące się jak trzy białe motylki, przyjęto na patynę w uroczystéj processyi, i w wystawionym później kościele złożono.

Za kościołem Bożego Ciała jest strzelnica. Tu to obywatele poznańscy trafny strzałem na parę godzin zdobywają illuzją królewskiego majestatu. Bo kiedy pierwszą Niedzielę wprowadzony bywa król strzelecki na ratusz, czyż jego powitanie nie jest jakby monarchy odwiedzającego które z miast swego państwa? Wchodzi do miasta na czele blisko tysiąca wojska, złożonego z braci strzeleckich, kiedy na wieży ratusznej postawiony trębacz ujrzawszy go zdaleka znak daje. Zaraz chuczna muzyka z bębnami i trąbami odzywa się na ratuszu, rynek ludem się napelnia, i tysiące wiwatów zabrzmni nowemu kró-

lowi. A on się przybliża zwolna, gruby łańcuch przewieszony na jego piersiach, przed nim powiewa chorągiew z herbem miasta — urzędnicy magistratu stoją przy jego stopniach na jego przyjęcie, i z całym uszanowaniem prowadzą do izby ratusznej. Widziałam raz szewca i raz śłószarza tą czią otoczonych, przyjmowali ją z całą powagą, umieli być królami jak się należy — znać nie długiej nauki na to potrzebowali.

Za strzelnicą rozpoczynają się łąki, a środkiem nich prowadzi droga do Dębiny, przyjemnego spaceru dla ludzi powozowych. Przy téj drodze stoją domki dość ozdobne, lecz są lata, że je mieszkańcy na wiele tygodni opuszczają muszą dla wylewu wody. Choć Warta większą część roku nie szerokiém i miłkiém płynie korytem, cicha i łagodna jak mieszkańcy jéj brzegów, rzadko silnym wichrem wzdęta, otworzy swoje łono i pochłonie łódź i pram — a potem znów długo, długo spokojna. Lecz ileż razy, kiedy ziemia rozgrzana wiosenném słońcem rozrywa swoje powicie ze śniegu, i pełna życia, zrzuca swą martwą skorupę. Wtedy ta sama Warta rośnie — burzy się — wzdęte fale uderzają o brzegi zwolna, jakby z westchnieniem — potem zachuczą niby przestroga, a nakoniec wylewają się całym potokiem — a wtedy nie ich w biegu nie wstrzyma — łamią każdą zaporę. W tym czasie nietylko domki ku dębinie stoją we wodzie, ale cała strona miasta od rzeki.

Na Warcie zarzucono dwa mosty, z których jeden mniejszy, łączy miasto z wysepką nazwaną Grobla, przerzniętą kilku pięknymi ulicami. Drugi zaś most nazwany Chwaliszewski, łączy obiedwie strony miasta rozdzielone przez rzekę. Po prawym brzegu Warty było dawniej główne miasto nim zamek założono. A teraz? — Tutajto jest Chwaliszewo i Śródka! Chatki z małym wyjątkiem niskie i pokrzywione, a w tych ciemnych zakątkach ludzie pędzą życie nędzne, jednostajne, przeciążone pracą, nie raz pełne rozpacz, kiedy przyjdzie walczyć z głodem i mrozem, a tu nie masz lasu, do którego by się choć boso poszło po gałązki! — nie masz dołka, z którego by choć trochę kartofli wydobyć można! — nie masz zarobku, tylko kilkoro drobnych dzieci co wołają jeść. Z tych to zakątków wysypuje się codziennie kilka set ludzi, mężczyzn, kobiet, nawet i niedoroslých dzieci, aby zarobić na swoje nędzne wyżywienie — ale w jaki sposób? — Aż mię zimno przechodzi, kiedy pomyślę nad tém. Po najbrudniejszych miejscach, po najbrzydlivszych śmieciach zanurzają po całych dniach swoje dłonie, zatapiają z chciwością swój wzrok, który Bóg dał człowiekowi na dopatrywanie piękności świata ze-

wnętrznego, w którym ma jaśnieć prawdziwe niebo Boga na tej ziemi, bo duch człowieka, a oni go wyteżają całe życie za brudnym zrzynkiem papieru, płótna, skóry i t. p. To powietrze co przesiąka w ich ciało i kości, zda się wnikać aż do dusz, bo takim piętrem wybijają ich twarze. Ach! jeżeli wiejska nędza ściska serca boleścią, jakże miejska stokroć okropniej je rozdziera. Tu na wsi przykryta wprawdzie także łachmanami, ale nie w niej nie masz odrażającego — ciało zmęczone, spracowane, lecz w nim przegląda boskość człowieka, — kiedy w mieście brudne, cuchnące jak powietrze chaty, w których od kolebki aż do trumny swoje czoła kapią. Z ich oblicza poznać ludzi przygwożdżonych wiecznie w piekle nędzy, a przy nich tuż raj innych mieszkańców téjże samej ziemi — i zaglądają w niego, dotykają go, czują całą jego rozkosz, lecz im tam surowo wstępu zabroniono — ich cierpienia to prawdziwe katusze potępieńców. A jednak wśród takiego życia nie wiedzieć jakim cudem większa ich część nie upadła do szczytu, owszem silne religijne uczucie przechowali w swych duszach i nie ztracili w sobie miłości do ziemi ojczyźnej, która ich tak skąpo karmi i odziewa, lecz ją miłują całym ogniem swego serca.

Wśród tej ubogięj części, w miejscu otwartém, gdzie powietrze nędzy nie dowiewa, stoi kościół katedralny, blisko niego biskupi pałac, nie różniący się niczem od kamienic w mieście, a po wszystkich stronach rozsiane dworki kanoników. Zrestaurowany ten kościół w wieku przeszłym — środek jego biały i jasny, z łozami u góry, i czerwono wybitymi ławkami dla prałatów, nie ma w sobie nic uroczystego, kilka tylko ubocznych kaplic i pomników zwracają uwagę. Jest tu jeden ryty na miedzi, niewątpliwie pochodzący z pierwszych lat chrześcijaństwa. Sztuki piękne u nas wtedy nie wysoko stały, bo tutaj po prostu oznaczył artysta nos i usta kreską, oczy kółkiem, ręce, nogi i suknią prostemi, troszkę zgiętymi liniami, poznać jednak, że w dłoniach trzyma kielich. Napisu nie masz żadnego, znać, że był na kamieniu w którym obraz oprawiony, ale go zdeptano, bo od kilkunastu lat dopiero wmurowano go w filar kościoła, a do tego czasu leżał na posadzce. Pod względem sztuki kilka nagrobków warte obejrzenia, a zwłaszcza dwa Górków i biskupa Konarskiego.

W jednej z ubocznych kaplic jest zrobiony płaskorzeźbą z alabastru obraz, przedstawiający następujący cud. Ś. Antoni dowodził dwóm filozofom o obecności Boga w hostyi, a nie mogąc ich prze-

konać, taką im robi propozycją: osłowi który tu jest, postawcie obrok, a ja wyjdę z Przenajświętszym Sakramentem, i jeżeli on pobiegnie do żłobu, zostańcie w waszej niewierze. W przedstawieniu pochwyciona ta chwila, kiedy osieł kłęczy przed patyną nie spojrzawszy na żłób. Filozofowie odsuwają się w wielkiem zadziwieniu, wystrojeni w krótkich hiszpańskich płaszczkach, trzewiki z ogromnymi kokardami, kapeluszyki okrągłe, cały ubiór z 17go wieku, i łatwo w tej całej scenie poznać dowcip Jezuitów. Ale ten osieł kłęczący, podkasani i z skrzywionemi twarzami filozofowie tak wszystko razem zabawne, że niepodobna się nie śmiać, i właściwiej by było powiesić ten obraz w pokoju.

W murze kościoła pokornie przy samej posadzce jest zrobiony płaskorzeźbą rycerz z mieczem, a przy nim tablica z napisem, pięknemi łacińskimi literami, a więc nie dawno ryta. Ma to być nagrobek Powodowskiego kawalera maltańskiego, który za życia nigdy nie chodził na mszę, za to po śmierci przez cały rok podczas mszy podnosił się z grobu i z dobytym mieczem asystował całemu nabożeństwu.

Za wielkim ołtarzem jest kaplica, o którą się to każdy przechodzień najpierw zapyta, a w której mają spoczywać kilka pozostałych kości Miecysława I. i Bolesława Chrobrego. Dzisiaj stoją one w kapitularku w małej trumnie z okienkiem na wierzchu. Gdyby były w dużej trumnie niewidzialne, patrzący napełniłby je duchem pierwszego naczelnika chrześcijańskiej Polski, i wielkiego rycerza. Ale kiedy spojrzę na te kilka spróchniałych i połamanych kostek, niepojętém mi się zdawało, tyle zachodu i budowania dla ich pomieszczenia. Dopiero kiedy weszła do kaplicy i spojrzęła na statuy tych książąt, na piękną i bohaterską twarz Bolesława, na majestatyczność całej jego postawy, i na miecz który silnie ujął w dłoń, wtedy kostki zniknęły mi z myśli, a pozostał tylko duch — pozostały czyn. Posągi te są lane z brązu, odziane zbrojami, roboty Berliczyka Raucha. Nad statuami wisi obraz przedstawiający wjazd Dąbrówki i kruszenie bałwanów, pędzla Suchodolskiego, a nad sarkofagiem koronacja Bolesława w Gnieźnie, pędzla Brzozowskiego. W ołtarzu jest wniebowzięcie Matki Boskiej z mozaiki; taka sama i posadzka. Na suficie są malowani święci polscy, niżej otoczona ściana wieńcem herbów szlachty wielkopolskiej. Jaka w tém myśl, tego nie wiem, bo nie groszem samej szlachty budowano ten pomnik. — Wszak ówczesne wojsko polskie oddało swój żołd kilkodniowy, a w spisie składujących widzimy wszystkie stany. Ten po-

mnik więc stawiał cały lud polski, a nie jedna kasta. Kaplica ta została upiększoną pod dyspozycją Ed. Raczyńskiego w stylu Bizantyńskim. Nie żałowano tu złotka i pasowego koloru, i wystawiono wcale różne cacadelko. — Kiedy się tu obejrzę, mimowolnie przyjdą mi na myśl skrzynki wyprawne wiejskich dziewcząt w Wielkopolsce.

Naprzeciwko Tumu stoi kościół bez okien, mury porysowane, w środku pustki, wszędzie takie zaniechanie, że aż żal patrzeć jak na sponiewieraną siwą głowę starca. Jest to ostatni budynek w Poznaniu z 16. wieku zachowany w całości. Lecz nie to czyni go tak drogą pamiątką, ale jedyny kamień jego fundamentów, kamień, na którym obywatelstwo województwa ostrzyło swoje szable, idąc bronić całości Rzeczypospolitej. Stoi ten kamień po dziś dzień cały i nietknięty. Otóż i wszystko com zebrała pamięcią i oczami, złożyłam w tym opisie Poznania. Nie nadmieniałam tylko o zakładach naukowych, dobroczynnych, wyścigach konnych i t. p. bo pan wiesz że w Poznaniu uczeni i miłośni ludzie. Mogę panu jednak niektóre z tych zakładów wymienić z nazwiska. Dwa Gimnazja: polskie i niemieckie — dwa Domy ochrony — Pomoc naukowa — Dom Zarobkowy — Dom Sierót i t. d. Drukarni pewnie siedm, księgarni kilkanaście; — pism peryodycznych dziewięć — a książek, książeczek dopiero! Jeżeli pan nie wierzy, że tu są tak wielce oświeceni ludzie, toć pana ta mnogość materiałów powinna przekonać. Mieszkańców w Poznaniu wszystkich narodowości i wyznań razem, licząc w to i gminę grecką złożoną z siedmiu osób, jest przeszło 50 tysięcy.

C***

Ułamek listu

PISANEGO PO FRANCUSKU Z WARSZAWY DO DREZNA

dnia 28. Maja 1766. r.

Rycerstwo romantyczne zmartwychwstaje na ziemi polskiej. Sławny Roderik i wszyscy członkowie okrągłego stołu odbywali tylko pojedynki; kruszono drzewce, wysadzano się z sodeł, kiedy bohaterki czystego wspomnienia wpadały w uniesienie, dla innych rycerze niebezpiecznej postawy; jeszcze do tego czarująca musiała być koniecznie księżniczką albo

hrabianką bardzo piękną, ale tu ma się rzecz wcale inaczej. Trzeba się zabijać strzałem z pistoletu, bo nasza Dylcyneja nieubłagana; trzeba odbywać pojedynki za wsadzanie do karety bohaterki teatralnej, którą przyzwyczailiśmy się lornetować; trzeba na koniec chcieć spełnić morderstwo dla tego, że nasz towarzysz zabaw został ranionym od swego przeciwnika na drodze w całym świecie za prawną poczytywaną. Wytłumaczę się zaraz: 1) zabił się przed dwiema tygodniami młody człowiek pochodzenia włoskiego — był sekretarz nieboszczyka Małachowskiego kanclerza koronnego, a to dla tego, że jego kochanka dała mu zrozumieć, że go zawsze będzie niecierpiała. Przed wypaleniem sobie w łeb, napisał, że to za jęj wyrokiem uczynił. I panna i ojciec nielitościwej panny są teraz w rozpacz i chcieliby cofnąć swoją uporczywość. — Trzeba mieć nadzieję, że wypadek ten będzie służył za pozór córkom, a za przykład ojcom, ażeby nie postępowali sobie tak surowo z nami biednymi zakochanymi pod uszy. Żadna dziewczyna nie będzie śmiała używać pazurów ani zębów, żaden ojciec nie będzie kładł zapory usiłowaniami miłosnym, bo któżby chciał stać się winnym śmierci człowieka lecącego za popędem serca? 2) Pan Branecki*) miał pojedynek w Środę ostatnią pod Wolą z panem Casanova da Taquino, byłem professorem w Padwie — z jakiego powodu? z miłości dla aktórki, bo pan Branecki nie chciał pozwolić, ażeby Casanova odprowadził ją do stancyi. Pan Casanova także nie miał ochoty odstępować mu jęj z tchórzostwa. Tymczasem pan Branecki wsypał mu policzek i tym sposobem opanował tłustą rączkę bohaterki. Casanova będąc nazajutrz na obiedzie u pana Czapskiego, prosił grzecznie swego przeciwnika, ażeby skosztował potrawy z jego talerza. Przybywszy na bojowisko, ułożyli się, ażeby Casanova strzelał pierwszy. Zostali obadwa ranni, Branecki w brzuch, a przeciwnik w rękę. Pułkownik Byszewski koniuszy królewski ledwie się dowiedział o tym przypadku, puścił cugle koniowi i pędził, ażeby się pomścić za krzywdę wyrządzoną swemu przyjacielowi przez Włocha Casanova na innym Włochu Thommadi dyrektorze teatru. Przybywszy podczas próby nowego baletu, uklonił się pięknie taniecznikom i zapytał się o ich naczelnika. Dowiedziawszy się że jest w pokoju pobocznym, wszedł do niego; lecz zamiast Thommatego zastał księcia strażnika Lubomirskiego i grafa Moszyńskiego, od którego chciał wina szampańskiego.

*) Nazywał on się później Branickim, wyszedł na hetmana i był założycielem konfederacji targowickiej.

Książę strażnik postrzegłszy, że jest doskonale pijany, namawiał ich do siebie, aby Byszewskiego ztamtąd wydostać, ale Byszewski właśnie postrzegł przez drzwi otwarte, że Thommadi się zbliża, i natychmiast palnął do niego z pistoletu, lecz szczęściem zadrasnął go tylko. Książę strażnik chciał przytrzymać Byszewskiego, został jednakże odwiedziony od tego zamiaru surową popróżką i zarazem położeniem sobie od Byszewskiego drugiego pistoletu na piersi. Moszyński, który przez uniesienie wspaniałomyślności wstrzymał z drugiej strony jednego baletnika, chcącego trudem położyć tego pijaka, odniósł dwie ciężkie rany: jedną w twarz, drugą w lewą rękę i stracił trzy zęby, które mu Byszewski wytłukł szablą; co zrobiwszy, przeszedł przez salą, wsiadł na konia i odjechał, jak gdyby nigdy nie nie zaszło. Król zmartwiony, że dwaj jego powiernicy Branecki i Moszyński otrzymali rany, lubo nie na polu sławy, pojechał ich odwiedzić: jednego do Woli, a drugiego do jego pomieszkania. Senat zaś zgromadzony, kazał natychmiast rozpocząć śledztwo, ażeby pojmać napastnika baletu. Marszałek wielki koronny chce spełnić koniecznie swój obowiązek, nie tylko przeciw Byszewskiemu, ale i przeciw Braneckiemu.

Cóż powiedzą cudzoziemcy o reformach, które mają już być zaprowadzane w rządzie? co powie książę Radziwiłł? co powiedzą przyjaciele Radziwiłła? Ten książę został wskazany na wygnanie z kraju i od sądzony od swych urzędów i godności, w skutek oskarżenia, ale bez dowodów, że przez najście w nocy miał przerwać spoczynek księdzu biskupowi wileńskiemu Massalskiemu.

ROZMAITOŚCI.

— Dr. J. P. Jordan w Lipsku, wydawca pisma *Jahrbücher für slawische Literatur, Kunst und Wissenschaft* uczynił następujące oświadczenie: „ponieważ pismo czasowe *Jahrbücher* przez regularne wychodzenie od półtora roku okazało, że wydawca usiłuje i nadal je utrzymać, przeto zawiadomia się czytelników, że wychodzić niewątpliwie będzie. Chodzi atoli o to, aby wszyscy przyjaciele wielkiego słowiańskiego ruchu pismo w mowie będące wspierali przez swoje artykuły, a szczególnie takie, które należą do rubryki krótkich doniesień. Tym sposobem pozbierane ze-

wsząd wiadomości względem życia narodowego mogą utworzyć jeden wspólny organ do porozumiewania się różnych szczepów w wspólnym celu i oświecą zarazem inne niesłowiańskie ludy o naszych zamiarach, których tać nie mamy potrzeby.

— Na jednym z ostatnich posiedzeń izby reprezentantów Stanów Zjednoczonych zdarzył się komiczny wypadek. Była mowa o zwycięztwach nad Meksyką — jenerała Taylor (nazwa znaczy krawiec) a jeden z deputowanych rozszerzając się w pochwałach, powiedział, że zwycięztwa stąd pochodzą, iż jenerał jest prawdziwy żołnierz, a nie kowal ani krawiec. Ta uwaga bardzo się nie podobala innemu członkowi zgromadzenia panu Johnson z Tennessee, który z rzemiosła jest krawcem. Podniósł się natychmiast i rzekł: „kto zaczepia rzemieślników, ten ma ze mną do czynienia. Powiedziano, że kowal ani krawiec nie mogliby odnieść zwycięztwa; to jest obraza, poniżenie, którego scierpieć nie myślę. Dawniej powiadano wprawdzie, że trzeba składać dziewięciu krawców na jednego człowieka, ale ja utrzymuję, że dziś trzeba złożyć dziewięciu ludzi, żeby z nich powstał jeden krawiec. Jenerał Taylor niech podług swego nazwiska i powołania będzie sobie krawcem, to mu wcale nie może przeszkadzać, aby zarazem nie miał być i bohaterem. Już Adam był krawcem, bo zesztywał liście figowe (powszechny śmiech). Mówca rozpałał się coraz bardziej przy obronie swego powołania i coraz więcej wymieniał znakomitych wojowników, polityków, filozofów w starożytności, w średnich wiekach i w czasie nowszym, którzy wszyscy byli krawcami. Obawiano się, że przyjdzie do pojedynku pomiędzy krawcem deputowanym a jego przeciwnikiem, ale nie doszła nas wiadomość, jak całą sprawę po za izbą między sobą uważali i czy ułatwili.

— Zakłady naukowe dla panien w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki. — Amerykanie szcycą się ze wszystkiego, co u nich w kraju znachodzimy, a mianowicie z licznych pensyi wychowania, które u nich kwitną. Niemiec jeden po podróży po Stanach Zjednoczonych odbytej, tak skreśla stan tych zakładów: — zakłady naukowe dla panien, powiada on, muszą wpływać przeważnie na dalsze ich życie. — Słusznie mówią o Amerykankach, że są zalotne, próżne i lubią się zbyt stroić, a jako zameżne zbyt mało się trudnią gospodarstwem domowem, zostawiając to wyłącznie służącym. Przymioty te przypisać należy zakładom wychowania. W takich pensjach znajdujemy młode panny z pierwszych rodzin kraju, które się aż do dwudziestego roku tam bawią. W każdym większym mieście jest takich zakładów naukowych od 20

do 30. Zamiast je naukowo kształcić i uczyć gospodarstwa domowego, pozwalają im wyprawiać herbaty, wizyty oddawać i odbierać, chodzić na bale i inne zabawy, a nawet utrzymywać ekwipaże i służących. Bogatsze damy żyją w tych pensjach jak w wielkich hotelach, i same są sobie pozostawione. Przełożona pensyi mało się trudni niemi, zadowolona zupełnie z znacznych dochodów, które od panien pobiera. Jeżeli się spodoba młodym pannom pójść na bal, natychmiast spieszy z niemi na miejsce zabawy. Jeżeli która z jęj uczennic ułowi w sidła swe młodzieńca, natychmiast przełożona staje za pośrednika między swą wychowanką a młodym kawalerem, a jeżeli jeszcze panna dobrą robi partya, natenczas zakład naukowy nabiera niezmiernęj sławy i przynęca — bardzo wielką liczbę uczennic. Nic dziwnego, że każda prawie młoda panna uwikłana jest w stosunek miłosny. Programaty tych pensyi w najwyższym stopniu zapowiadają uczoność. Oprócz dziewięciu czy dziesięciu języków, uczą tam wszystkich umiejętności i sztuk, a kiedy młoda dama opuszcza pensyą, zaledwie je zna z nazwiska.

— Stara nowinka. W przeszłym wieku przesyłano z Paryża, a szczególnie do książąt północnych liczne korespondencye pod nazwiskiem *Nouvelles littéraires de Paris*, w których znajdowały się wszystkie nowości z owych czasów. Królewska biblioteka w Monachium posiada kilka tomów in 4to takich zbiorów i podobne znajdujemy w bibliotekach Francyi, Anglii i Niemiec. Zawierają one obok plew mnóstwo złotych ziarenek, jak nas przekonywa uczyniony wybór sławnego *Mattéra* w Paryżu, który teraz wydrukowany został. Z tego zbioru wyjmujemy pewien spór teatralny w Marsylii, z roku 1753. Dyrektor tamtecznego teatru zaprosił pierwszą aktorkę z Paryża do ról gościnnych, a zmuszony płacić jęj znaczną sumę, podwyższył ceny miejsc. Władza miejscowa zezwoliła na te ceny, ale publiczność tak się tęp oburzyła, iż nikt teatru nie odwiedził, a nieszczęśliwy dyrektor ratował się ucieczką. Minister spraw wewnętrznych wydał wówczas rozporządzenie do władzy miejskiej w Marsylii, w którym ganił postępowanie takie mieszkańców, i groził odjęciem pozwolenia dramatycznych przedstawień, jeżeli publiczność trwać będzie przy swoim uporze. Władza miejska taką śmiałą dała odpowiedź ministrowi: „jeżeli król nam odbierze pozwolenie na sceny dramatyczne w naszym mieście, natenczas powrócimy do dawnych zwyczajów przodków naszych. Wiesz panie ministrze, że w czasach pięknych naszej Rzeczypospolitej, gdzieśmy prawa przepisywali a nie odbierali, zamykaliśmy drzwi nasze przed akto-

rami i skoczkami, aby nam czystości obyczajów nie psuli.“ Z tej odpowiedzi danęj w roku 1753. ministrowi potężnemu, poznać można owe błyski rewolucyjne, które zapowiadały wypadki za 30 lat zdarzyć się mające i to dowodzi na nowo, jak długo ogień tlał w popiele we Francyi, zanim wybił w płomienie.

— Od dawnego czasu zaprowadzono zwyczaj na dworze królewskim we Francyi, iż książęta uczą się rozmaitych rzemioł. Ludwik Filip n. p. jest stolarzem. Młody hrabia Paryża, przyszły tronu następca, uczy się drukarstwa i urządzono dla niego małą drukarnię. Będzie zapewne wielkim przyjaciелеm prassy. I książęta, prezydenci literatury w Paryżu idą za tym dworskim chwalebnym zwyczajem i uczą się rozmaitych rzemioł. Victor Hugo zamienił lirę na hebel i więcej bebluje, niż poetyzuje. Alfred Vigny przyłączył się do szewców i nie dawno przesłał swojej roboty przesliczną parę trzewików jednej pięknej aktorce. Eugeni Sue szlyfuje diamenty, podobnie jak jego Morel w tajemnicach Paryża.

— Australia jest jedynym krajem którego nie znają, i dla tego podróżni mogą tam niepolicone porobić odkrycia. Po większej części udają się teraz Anglicy do tej piątęj części świata, i opowiadają osobliwsze rzeczy o tym kraju, któreby można poczytać za bajki. Tak powiada lord Stokes, który stał na czele jednęj wyprawy do Australii, iż przybyli nad brzeg jeden nadmorski, gdzie znaleźli ogromne mnóstwo żółwi, które tam podług wszelkiego prawdopodobieństwa udają się na śmierć swoją. Miejsce to wygląda nakszałt cmentarza i przypomina mi miejsce nad Gallegos w Patagonii, dokąd przybywają *guarnakos* (rodzaj Lamy), aby się wypłacić z długu natury. Na widok tak osobliwszy przypomniatł sobie ów cmentarz słońi, który opisuje żeglarz *Sindbad*. Czyliż podobny widok nie naprowadził na podobną fantazyą poetów tysiąc nocy i jedna.

— Pewien drukarz spekulacyjny w Londynie, uważając, że wiele osób pisze do oddalonych przyjaciół i znajomych o nowościach miejskich, chcąc im ulżyć w tęp pracy, zbiera wszystkie nowiny codziennie w mieście, drukuje je na wązkich świstkach papieru i sprzedaje potrzebującym tych nowin za drobne pieniądze i tym sposobem ułatwia pisanie.

— W Genuy tak dalece się podobała nowa opera trzyaktowa „*Malek-Adel*“, skomponowana przez księcia Józefa Poniatowskiego, że go jako kompozytora dwadzieścia i pięć razy wywołano na scenę.

— Amerykanie jak wiadomo, zdobyli niedawno meksykańskie miasto *Matamoros*, które tak opisują: podobne ono do innych miast hiszpańskich, jest

regularnie zbudowane, ma piękne budynki, ulice są bardzo wąskie, bardzo brudne i błotne. Wyłożone są po bokach szerokimi ceglami. Liczba mieszkańców wynosi 5000, a przystęp znajduje się 50000 psów. Dawniej miasto to było większe, jak to widać z ruin. Mieszkańcy tego miasta w swych wyobrażeniach są po za dwu stu latami wstecz; ale mieszkanki są bardzo piękne. Nic nie masz świetniejszego nad ich czarne oczy. Mężczyźni noszą długie włosy i niezmierne wąsiska.

— Żydom bardzo źle jest w Smyrnie, nigdzie ich więcej nie okładają kijami jak w tém mieście, o czém powiada jeden Anglik w wyborniej podróży do Wschodu, pod tytułem: „Eothen.“ Są oni bardzo biedni, a jak wszędzie, wścibiają się do interesów i narzucają na pośredników, ztąd powstał zwyczaj bicia ich na ulicach. Dla tego Europejcykowie noszą przy sobie długie kije, by ten lud wybrany na ziemi daleko od siebie wstrzymywać. Wygląda to nader komicznie. Żyd nieodbiera nigdy razu niebezpiecznego, gdyż jest przygotowany na niego i śpiesznie umyka. Największy hypochondryk musi pękać ze śmiechu, kiedy zobaczy figurę brodatą w długim szarafanie, która co chwilę uskakuje na boki i natychmiast zwraca się i goni za Europejczykiem, polecając mu swoje usługi.

— Znany irlandzki kaznodzieja, pater Mathews, bardzo się czuł urażonym przed niedawnym czasem, iż pismo jedno oświadczyło, iż w Cork uwięziono w roku 1845. dwa tysiące pijaków. Mąż ten pobożny, który się całkiem oddał zaprowadzeniu towarzystw wstrzemięźliwości, przyznaje wprawdzie, iż wszystkich nie uleczył pijaków, za pomocą środków wymowy i przekonania, ale co się dotyczy podanego przypadku, to nie dwa tysiące pijaków, lecz siedm niepoprawnych pijacek zamknięto dwa tysiące razy w mieście Cork.

M O D Y.

Paryż, dnia 21. Lipca 1846.

W podróżach, na wsi i u wód dozwala moda excentryczniejszych rzeczy. Tu policzyć należy dawniej wymienione kapelusze ogrodowianek i kapelusze à la Clarisse Harlowe, mantylle muślinowe lub jedwabne, tak związane w tyle, jak je widzimy na portretach z roku 1787. aż do 1790.

Z wizytkami walczą teraz tak zwane szwedki, a mianowicie podczas pobytu w kąpielach i okolicach

górzystych. Jest to pewien rodzaj odzienia, nie przechodzącego po za kibić. Zwykle robią tę odzież z mocnej tkaniny, aby ciało broniła przed zimnem wieczorném. Pół długie rękawy u tych szwedek są orzucione czarnymi koronkami, a jedna szeroka koronka, otaczająca kibić, spada na powłokę w jasnym kolorze.

Biała kitajka nadzwyczaj się teraz podoba. Widzielśmy wiele szlafroczków z téj tkaniny, które wytwornie w kształt fartuszka były haftowane, lub z przodu na kutasy z białych pereł się zamykały. Podobnie wszystkie suknie spodnie, które pod przezroczystymi tkaninami noszą, n. p. pod sukniami muślinowemi są z białej kitajki.

Najpiękniejszymi przecież letniemi sukniami pozostaną tarlatanowe, które w bułki aż nad kolana składają się, mające w środku kolorową wstążkę. Ponieważ stanik u tych sukien bardzo jest głęboko wycięty i łatwo ściągający się we fałdy, przeto dodają do niego tak zwany bouffante, małą chusteczkę, która przypomina dawne czasy, ale jest ozdobiona według najnowszej mody. Ubiór taki szczególnie jest stosownym dla osób wysokich i wiotkich.

Wiele też ubiorów noszą z tkanin w jednym kolorze, a mianowicie w zielono-kapuścianym, niebieskim à la Nemours, pomarańczowym i rdzawym. Większa część tych sukien jest organzynowych, z gazy jedwabnej lub bareżu i mają dość szerokie podwójne ukosy, lub trzy do czterech fałban oszytych małą otwartą fręzlą.

U jasnych i przezroczystych sukien nie można nosić gładkiego i jednostajnego stanika. Wypada coś takiego dodać, coby przypominało fałdy i powtarzało cienie tkaniny. Dla tego staniki à la demoiselle, koszulkowe lub guimpe zwane, są tu na swoim miejscu.

Objaśnienie ryciny.

1. Ubiór do jazdy konnej. Kapelusz z szerokim obwodem, ozdobiony piórem. Szwedka z małemi połami.
2. Kapotka trzema piórami zdobna. Suknia z wyciętym stanikiem i ozdobiona fałbaną, orzuciona fręzlą otwartą. Szal kaszemirowy.
3. Paletot letnią porą u wód używany. Pantalony z lekkiej wełnianej tkaniny w kratkę. Kapelusz z wązkim obwodem.